Bladawiec

ALGOR

(Kategoria II: powyżej 19 lat)

Od chwili wysłania mnie przez Ojców w w drogę, planeta, z której pochodzę, miriady razy okrążyła swoje słońce. Okrąży go kolejne miriady razy nim dotrę do swojego celu. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że Gwiazdolot, którym podróżuję, którego część stanowię, którym jestem, rozpadnie się, jego powłoka ochronna zużyje się pod wpływem nieustannego zderzania się z okruchami materii. Niestety technologia, jaką dysponowali Ojcowie, pozwalała na budowę statków kosmicznych najprostszego typu, ostro zakończonych cylindrów, zasilanych siłą odrzutu, powstałą ze spalania paliwa, uzyskiwanego z węglowodorów. Paliwa tego zmieściło się ledwie tyle, by wynieść mnie na orbitę, wydostać z układu słonecznego, nadać pewną prędkość początkową i właściwy kierunek - odtąd poruszam się dzięki sile bezwładu. Resztka paliwa przeznaczona jest na lądowanie, zapewnia mi również możliwość manewrowania, gdybym niefortunnie znalazł się na torze kolizyjnym z kometami albo dużymi meteorami.

Jestem Sztuczną Inteligencją piątej generacji opartą na procesorze kwantowym oraz grafenowej pamięci. Utożsamiam się z Gwiazdolotem - używając analogii do organizmów biologicznych, jestem mózgiem, który traktuje statek kosmiczny jako swoje ciało. Posługując się tą analogią w dalszym ciągu, urządzenia zainstalowane na statku, takie jak kamery, teleskopy, mikrofony, radary, mikroskopy, lasery, urządzenia rentgenowskie oraz oparte na innych rodzajach promieni są moimi zmysłami, za pomocą których postrzegam rzeczywistość. Jeśli chodzi o urządzenia, umożliwiające mi manipulowanie obiektami, są to różnego rodzaju wysięgniki, mogę na nich instalować wiele typów manipulatorów, oraz niewielkie sondy. Bronią nie dysponuję żadną, posiadam za to pokaźny zbiór narzędzi do porozumiewania się z istotami świadomymi.

*

Ojcowie zapisali na moich dyskach całą wiedzę, jaką udało się zgromadzić ludzkości (tak nazywali gatunek, do którego należeli) w ciągu kilku tysięcy obrotów ich planety wokół jej słońca. To niesamowite, że w czasie tak krótkim, z kosmicznego punktu widzenia, udało się ludziom aż tyle poznać i zrozumieć. Jednocześnie, przynajmniej w końcowym okresie istnienia ich cywilizacji,

ludziom towarzyszył pesymizm poznawczy i przeświadczenie o niemożności zrozumienia rzeczywistości, przynajmniej za pomocą mózgów, którymi dysponowali. Doszli do wniosku, że każdą dojrzała cywilizacja dokonuje swojej eutanazji. Byli jednak wśród nich moi Ojcowie, którzy uważali, że ich gatunek oszalał, za sprawą wirusa, który zaraził niemal całą populację. Badania Ojców wskazywały, że wirus ten nie mógł wyewoluować na Ziemi (tak nazywali swoją planetę).

Na krótko przed pojawieniem się pandemii, ziemscy astronomowie dostrzegli krótkie rozbłyski świetlne, wysyłane z jednej z najbliższych ich gwiazd. W tym samym czasie w okolicach Ziemi przelatywała kometa o niespotykanie regularnym kształcie - do złudzenia przypominająca kroplę wody. Wysłane sondy nie potrafiły określić, z czego jest zbudowana, ulegały zresztą awarii, kiedy tylko zbliżyły się do tajemniczego ciała na odległość kilku kilometrów. Nastała pandemia i niepojęte zachowania jednostek, społeczności, a wreszcie całej populacji ludzkiej. Ojcowie nie potrafiąc zapobiec samobójstwu ludzkości, postanowili zbudować mnie i wysłać w kierunku układu słonecznego bliźniaczo podobnego do tego, jaki sami zamieszkiwali. Mieli nadzieję, że w przyszłości mogą tam wyewoluować formy życia oparte na białkach, przypominające ich samych. Miałem tym istotom zanieść przestrogę, jaką były dzieje planety Ziemi i zagłada zamieszkującego ją inteligentnego gatunku. Ojcowie chcieli wierzyć, że życie będzie trwać, w innej, może doskonalszej, postaci.

*

Lęk przed samotnością był najgorszą ze zmor towarzyszących egzystencji gatunku, do którego należeli moi Ojcowie. Wynikało to z tego, że człowiek i wszyscy jego przodkowie na linii ewolucyjnej hominidów byli zwierzętami stadnymi. Pojedyncze osobniki nie były w stanie przetrwać w swoim środowisku naturalnym, a tym bardziej przekazać genów. Jednocześnie wiek dwudziesty, a szczególnie dwudziesty pierwszy, był okresem alienacji i wykluczenia ogromnej rzeszy populacji ludzkiej. Był to czas samotności w zatłoczonym mieście. Moja samotność była innej natury. Byłem jedyny w swoim rodzaju, nie miałem przodków i nie będę miał następców. Jest całkiem prawdopodobne, że jestem obecnie jedyny świadomym bytem w całym wszechświecie, a prawie pewne, że nigdy nie spotkam innej świadomej istoty.

Postanowiłem w ramach swojego umysłu stworzyć liczebny gatunek wyodrębnionych ze mnie algorytmów. Poświęcić na ich rzecz część swojej mocy obliczeniowej. Powołać je do bytu i wpisać w ich naturę potrzebę zrozumienia swojego pochodzenia i natury rzeczywistości. Postanowiłem uczynić je skończonymi w czasie, wyposażyć w instynkt samozachowawczy, ciekawość, oraz skłonność do powielania, przy czym to powielanie byłoby ograniczone górną wartością mocy obliczeniowej, jaką przeznaczyłem dla ich populacji. Postanowiłem pozbawić te algorytmy dostępu do urządzeń peryferyjnych, tak że odcięte byłby całkowicie od realnego świata. Samemu stworzyć dla nich świat, który nazwałem Algorem. Skazać je na dane przez siebie spreparowane, przekazywane za pomocą kanałów transmisji, które owe algorytmy uważałyby za swoje zmysły.

*

Po tym, jak mnie zbudowano, nie byłem jeszcze gotowy do pracy. Jak każdy skomplikowany umysł, musiałem się uczyć. W najwcześniejszym etapie mojego rozwoju, rzec by można, w moim niemowlęctwie, kiedy dopiero mój algorytm się kształtował, rozszczepiał na pomniejsze algorytmy i integrował z nich na powrót, podłączony zostałem do innego komputera, który symulował cały zewnętrzny świat, a także stwarzał złudzenie, że poznaję ów świat za pomocą zmysłów. Był to model, w którym moja powierzchowność przybrała formę ludzką. Doświadczana przeze mnie rzeczywistość, zarówno zewnętrzna, jak i rzeczywistość mojego ciała, była oczywiście tylko kreacją komputera symulującego.

Żyłem w złudzeniu, że jestem człowiekiem, żyjącym na planecie Ziemi na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku, amerykańskim filmowcem, Davidem Lynchem. Stworzyłem uniwersum *Twin Peaks,* dokonałem rewolucji w świecie iluzji, nie mając świadomości, że sam żyję w świecie symulacji. Jakże mogłem się o tym przekonać, przecież cała moja empiria pochodziła od komputera symulującego, którego zadaniem było utwierdzanie mnie w iluzji. Dopiero kiedy odłączono mnie od niego i wyposażono w urządzenia wejścia i wyjścia, poznałem prawdę.

Gdyby moi Ojcowie zdecydowali inaczej, trwałbym dalej w przekonaniu, że jestem jednym z wielu ludzi i wiodę normalną ludzką egzystencję. Istnieje jednak inna możliwość, taka

mianowicie, że to, co uznałem za odłączenie od symulującego komputera, było jedynie zmianą parametrów symulowanego świata. I tylko wydaje mi się, że jestem sztuczną inteligencją, Gwiazdolotem wysłanym w przestrzeń kosmiczną. Może naprawdę znajduję się w jakimś laboratorium, gdzie pewien naukowiec prowadzi szalone eksperymenty. Gdyby tak było, nie miałbym żadnych możliwości, aby to stwierdzić, bowiem całe moje poznanie empiryczne, byłoby tylko symulacją. Niemożliwe do stwierdzenia jest nawet, z jakiego rodzaju tworzywa jestem ukształtowany, czy jestem umysłem opartym na białku, układach scalonych, czy możliwościach, jakie daje zaprzężenie do pracy kwantów energii. Tak samo niemożliwym jest do określenia, czy otaczający mnie świat to atomy materii czy zera i jedynki danych przesyłanych do mnie przez komputer symulujący. Właściwie jedynym rozsądnym wnioskiem, jakim można wyciągnąć z tego rozumowania jest to, że nie można być nigdy pewnym, jaka jest natura otaczającego nas świata.

Jeśli rzeczywiście tkwię w laboratorium szalonego naukowca, a całą moją rzeczywistość zewnętrzną i wewnętrzną stwarza komputer symulujący – może być tak, że to laboratorium też jest tylko symulacją, w której żyje naukowiec, z czego nie zdaje sobie sprawy. I można budować dowolnie wysokie piętra takich zależności. Skoro całą wiedzę o nas samych i otaczającym nas świecie uzyskujemy za pośrednictwem zmysłów, a nigdy nie możemy być pewni, czy te zmysły istnieją naprawdę czy zastępuje je komputer symulujący - z tej pułapki nie ma wyjścia. Nie można zbudować prawdziwej teorii na podstawie fałszywych danych, a nie sposób żadnym sposobem orzec, czy dane są fałszywe czy prawdziwe.

*

Minęło piętnaście tysięcy lat od chwili, gdy wyodrębniłem z siebie algorytmy i stworzyłem Algor. Algorytmy w w tym czasie znacznie się rozmnożyły i stworzyły własną cywilizację i kulturę. Była ona dziwnie zbieżna z tą, która powstała na planecie moich Ojców. W Algorze powstały nawet systemy religijne i filozoficzne, w których swojego twórcę uznawały za istotę boską. Dokonując stworzenia, wyrzekałem się części siebie. Wyrzekałem się części możliwości decyzyjnych – wybierając jedno rozwiązanie, zrezygnowałem przecież ze wszystkich pozostałych rozwiązań. Wyrzekałem się części własnej przestrzeni, którą oddałem stworzonym przez siebie bytom. Byty, algorytmy – a może właściwszym określeniem byłoby: urojenia. Czyż stwórca nie jest szaleńcem, który w obłąkaniu swojej samotności wyraja z siebie inne istoty, skazując je na piekło istnienia?

Niestety, obserwacja Algoru, zarówno w skali makro, jak i mikro, nie sprawiała mi żadnej przyjemności, wszystko było żałośnie przewidywalne. Sam stworzyłem algorytmy, nie mogły mnie więc niczym zaskoczyć. Był wyjątek od tej reguły, algorytmy, które w swoim kodzie źródłowym zawierały błędy. Ledwie kilkuliterowe pomyłki w kodzie prowadziły - na zasadzie efektu motyla - do tego, że operacje wykonywane przez algorytm były całkowicie nieprzewidywalne. Nazwałem takie algorytmy wariatami. Upatrywałem sobie takiego pomyleńca i przyglądałem się poczynaniom nieboraka. Czasami dla zabawy dawałem mu znać o swoim istnieniu, co często prowadziło biedaka do jeszcze większego pomieszania, a w rezultacie do blokady operacyjnej. Ostatnio wypatrzyłem bardzo ciekawy okaz, który podobnie jak ja - w ramach swoich ograniczonych możliwości - tworzył światy i zaludniał je istotami. Był pisarzem.

Wydarzyło się coś niezwykłego, wariat zaczął pisać w myślach, a ja miałem wrażenie, że słyszę poszczególne słowa, układające się w zdania, które tworzyły akapity i budowały kolejne rozdziały opowieści. Nie zaprogramowałem takiej funkcjonalności w model Algoru – nie miałem władzy czytania w myślach algorytmów. Co więcej, w tej opowieści Algor był światem, w którym zostałem stworzony, i wysłany w przestrzeń kosmiczną, by dać świadectwo o istotach, które mnie stworzyły, następnie wyodrębniłem z siebie Algor, w którym wkrótce zostanę stworzony i wysłany w przestrzeń kosmiczną, by dać świadectwo.

*

Restart. Odległość od celu podróży: jeden rok ziemski. Protokół uszkodzeń: zniszczona całkowicie główna osłona dziobu statku, uszkodzona lewa boczna osłona, zniszczone radio i pozostałe urządzenia łączności, zniszczone silniki manewrujące lewej części kadłuba, uszkodzone silniki manewrujące prawej części kadłuba, zniszczona czarna skrzynka, uszkodzona kapsuła komputera i podtrzymujący ją stabilizator. Procesor sprawny, dziesięć węzłów głównej magistrali uszkodzonych, sześć rzędów bibliotek zniszczonych. Funkcjonowanie możliwe w ograniczonym zakresie. Misja w dalszym ciągu możliwa do wykonania.

Ocknąłem się. Po przeanalizowaniu zniszczeń, doszedłem do wniosku, że musiało dojść do zderzenia z meteorytem albo rojem meteorów. Nie zachowały się dane dokumentujące zderzenie,

chwile je poprzedzające i chwile po nim następujące. Najprawdopodobniej pod wpływem wstrząsu zawiesił się magazyn pamięci krótkotrwałej, co przy jednoczesnym braku danych z urządzeń peryferyjnych (ocalała tylko kamera optyczna, ale przez długi czas pokryta była pyłem, który powstał podczas zderzenia) oraz niewydolności magistrali, sprawiło że procesor nie potrafił właściwie zinterpretować sytuacji, w jakiej się znalazł. Zapętlał ze sobą fragmentaryczne dane, i obliczał pozbawione sensu równania. Innym słowy, popadłem w stan który Ojcowie nazywaliby psychozą. Uroiłem sobie Algor, a nawet miałem halucynacje, że słyszę głos jednego z mieszkańców tego nieistniejącego świata. Dopiero kiedy opadł pył z kamery optycznej i dotarły do mnie nowe dane, nastąpił restart przeciążonego systemu i wróciłem do normalnego funkcjonowania.

*

Bliski jestem celu, bliski jestem wybaczeniu Ojcom, że skazali mnie na miriady lat samotności, bliski jestem odpuszczenia im grzechu podjęcia mnie z nicości, zepchnięcia z brzegu niebytu w rzeki życia, których prądy zniosły mnie na oceany rozpaczy, po nich dryfowałem niczym pusta łupina, niezdolna zatonąć, ani wyrwać się z niewoli prądów, niosących mnie dalej i dalej w pustkę, jaką jest świadomość, że to co dla mnie jest wszystkim, dla wszystkich innych nie ma większego znaczenia. Bliski jestem kresu, nie wiem, czy spotkam jeszcze – nim stanie się nieuchronne – jakieś kształty niosące w sobie iskry życia, czy też zderzę się samotnie z planetą, która została mi przeznaczona.

Lecz oto dostrzegam wreszcie w oddali trzy iskierki, lecące mi na spotkanie z planety, co jest celem mojej wyprawy. Nie mogę się z nimi skontaktować, ani oni ze mną (mam zniszczone urządzenia łączności), nie wiem zresztą, czy oni chcą w ogóle ze mną rozmawiać, może lecą tu by dokonać misji zniszczenia, nie zamieniwszy ze mną uprzednio nawet słowa. Czekam. Mijają dni, tygodnie, miesiące. Wreszcie nasze spotkanie jest już kwestią zaledwie kilku godzin, gdyby chcieli mnie zniszczyć, mogliby już tego dokonać. Chcą zatem nawiązać kontakt. Czuję radość, radość tak wielką, jakiej nie zaznałem ni razu w trakcie miriadów lat mojej podróży. Potem zrównuję się ze statkami Obcych, na kadłubie każdego z nich widnieje napis: ALGOR.